

Włodzimierz Bolecki

Słówko o przemianach

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 2 (32), 1-4

1995

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

teksty

D R U G I E

2
1995

Dwumiesięcznik
Instytutu
Badań
Literackich
PAN

TEORIA LITERATURY KRYTYKA INTERPRETACJA

Słówko o przemianach

Każde pokolenie – przypomina Henryk Markiewicz – powinno mieć własną historię literatury. Tak! Nikogo do tej opinii nie trzeba chyba przekonywać. Trudno więc sobie wyobrazić chwilę bardziej odpowiednią na realizację tego postulatu od dzisiejszych przemian, które – o czym warto pamiętać – trwają już wszak kilka lat.

Są być może tacy badacze, którzy uważają, że „czysta” historia literatury nie powinna być podatna na okoliczności zewnętrzne, zwłaszcza polityczne, ale czyż można poważnie traktować taki pogląd w czasach, gdy zasadą stało się w humanistyce odnajdywanie zewnętrzności we wnętrzu? A poza tym, do niedawna owymi okolicznościami były wszak czynniki nie byle jakie, bo instytucje państwa komunistycznego: cenzura formalna i nieformalna, cenzorzy, programy szkolne, uniwersyteckie i badawcze: ich układacze i zatwierdzacze, przydzielacze (papieru) i oceniacze, a ponadto zamawiacze i odrzucacze: wydawcy, redaktorzy i dystrybutorzy – szkoda czasu na wyliczanie.

I oto nastąpił koniec z ograniczeniami. Od lat pięciu każdy może pisać tak, jak mu się podoba i publikować swoje przemyślenia, gdzie zechce. Teoretycznie więc znajdujemy się w sytuacji, o jakiej jeszcze kilka lat temu nikt nawet nie marzył. Czy powstaje więc na naszych oczach nowa historia literatury? A jeśli tak, to na czym polega jej nowość?

Nie kryję, że pytając o rozumienie tej nowości Autorów podręczników, chciałem sprowokować odpowiedzi dotyczące najbardziej elementarnych działań w pracach historyków literatury. Czyż bowiem synteza historycznoliteracka – wpisana w ramy podręcznika szkolnego czy akademickiego – nie jest najlepszym sprawdzianem potocznego rozumienia tego, co się dziś zmienia (albo nie zmienia) w naszej dyscyplinie? Ostatecznie decyzja o pisaniu prac o charakterze podręcznikowym i pomocniczym w nauczaniu literatury jest (powinna być) pró-

bą zmierzania się z problemami dotychczas nie podejmowanymi. Nie sposób bowiem wyobrazić sobie ambitnego autora, który zamierzałby napisać podręcznik taki sam jak już istniejący. Z czym zatem, z jakimi ambicjami i koncepcjami zasiada dziś do pisania podręcznika historyk literatury? Co jest jego największym problemem, gdy znikła cenzura i jedynie słuszny program nauczania?

Co więcej, jakby przy okazji zmian ustrojowych rozpadło się ostateczne przekonanie – zupełnie niepolityczne – o „obiektywistycznym” modelu podręcznikowej narracji i jego kompozycji. Trudno przecenić tę sytuację: z jednej strony pojawiła się szansa na uzupełnienie luk i przemilczeń, z drugiej – na naturalną reinterpretację dotychczasowych odczytań, hierarchii, związków historycznych i literackich dokonań.

Rzecz jasna, inne są powinności i cele autorów podręczników szkolnych, inne – autorów tzw. syntez i opracowań uniwersyteckich. Inna też była ich pisarska sytuacja: pierwsi pełnili wszak do niedawna funkcję ostatnich bastionów „frontu ideologicznego”, podczas gdy drudzy mogli już dość dawno zapomnieć o jego istnieniu.

Pamiętać też trzeba, że przed zupełnie innymi trudnościami stawali autorzy prac o literaturze staropolskiej, a przed innymi badacze piśmiennictwa porobiorowego – zwłaszcza literatury XX w. Niemniej i jedni, i drudzy znaleźli się dziś w podobnej sytuacji: „nowość” i „inność” przestały być egzotycznymi kwiatami, bo stały się – no właśnie, czym się stały?

Dla jednych – zapewne wyzwaniem. Dla drugich – koniecznością. Dla trzecich – przymusem. Dla jeszcze innych – być może spełnieniem. Cokolwiek mówić o związkach humanistyki i polityki, metodologii i warunków społecznych, jest faktem, że na gruntowne zmiany ustrojowe nałożyło się – w jaki sposób, to rzecz osobna – przekonanie o równoczesnej wielkiej zmianie metodologicznej w humanistyce. Niektórzy, zdaje się, nawet uwierzyli, że postmodernizm jest inną nazwą postkomunizmu...

Ale czy zmiana ta rzeczywiście jest tak wielka, za jaką uchodzi i czy ma – poza uzupełnianiem dawniej zakazanych informacji – jakkolwiek wpływ na „formę i treść” nowych podręczników do nauczania historii literatury?

Kto chce znaleźć odpowiedź na te i inne pytania, powinien przeczytać odpowiedzi na ankietę zamieszczone w tym numerze „Tekstów Drugich”. Ich autorzy należą do różnych pokoleń, zajmują się różnymi epokami, mają różne gusta i uprawiają bardzo różne sposoby pisania o literaturze. Odpowiedzi te – niekiedy obszernie – są rodzajem sondy wśród profesjonalistów. Mam nadzieję, że zachęcą innych Autorów prac podręcznikowych i syntetycznych do przysyłania uzupełnień lub polemik, do formułowania nowych pomysłów, celów i postulatów.

Nie czekając však na dalszą dokumentację współczesnej świadomości meta-

historycznoliterackiej, warto o kilku sprawach powiedzieć choćby w trybie przypuszczającym.

Nic nie wskazuje, byśmy w dającym się przewidzieć terminie doczekali się nowej historii literatury polskiej napisanej przez nowe pokolenie badaczy. Nie dlatego, że takie prace nie powstają (bo powstają — niekiedy znakomite!), lecz dlatego, że nikt dziś nie uprawia historii literatury w ramach czy w imieniu pokolenia.

Zamiast nowej — powiedzmy — pokoleniowej wersji syntez historycznoliterackich, autorzy wolą akcentować swoje „ja”, swoją osobistą wizję epoki (przykładem książki Jana Tomkowskiego), czy równie osobistą wizję twórczości danego pisarza (przykładem gdańskie studia o Mickiewiczu, opowieści Jarosława Marka Rymkiewicza czy Krzysztofa Rutkowskiego).

Łatwo zauważyć, że owo „ja” wnosi do dyskursu historycznoliterackiego nie tylko mocny i programowy subiektywizm autorów, lecz także szczególną perspektywę metodologiczną. To nowe „ja” widzi bowiem historię literatury nie poprzez system, proces, syntezę, a choćby monografię, słowem przez jakąś totalność, której odtworzenie było do niedawna podstawową ambicją badaczy, lecz — przez marginesy, przyczynki, uzupełnienia, odkrycia, głosy, słowem przez pomijane, pomniejszane lub nie znane dotąd detale. Nie przewidują zatem rychłego powstania „własnej historii literatury” nowego pokolenia, jaką w odpowiedzi na ankietę „Tekstów Drugich” postuluje Henryk Markiewicz — będzie raczej tyle nowych historii, ilu historyków literatury.

Ten pęd do „mojności” może się postronnemu obserwatorowi wydać katastrofą, której skutków nie da się odrobić przez dziesięciolecia. Czyż — można by się obawiać — zamiast panoramicznych syntez nie zasypie nas analityczna dłubanina? Czyż zamiast metodologicznych dialogów, nie powstaną ametodologiczne monologi, i czyż cała ta robinsonada nie rozmyje wszelkich kryteriów, zacierając ostatecznie granice między felietonem a dyskursem naukowym, między uchylaniem otwartych drzwi a rozwiązywaniem rzeczywiście nowych problemów?

A wreszcie: czyż nie pozaciera ledwie już widocznych granic pomiędzy historią jako (re)konstrukcją wielu skomplikowanych czynników literackich i pozaliterackich a zbiorem swobodnych impresji i asocjacji, których logiki nie sposób nigdy przewidzieć?

Nie podzielam takich obaw, choć ich nie lekceważę.

Wydaje mi się, że owa pasja do glosowania na marginesach dawnych syntez jest rodzajem nieświadomego hołdu składanego poprzedniemu pokoleniu historyków literatury. Ich Wielkie Dzieła po prostu nie straciły na aktualności; zgoda, że wymagają niekiedy uzupełnień i nowych oświeleń (jakaż praca po latach tego nie wymaga?), ale nikt z nowych autorów nie czuje potrzeby, aby je pisać od początku. A co więcej, wszystko co po tych Wielkich Dziełach dziś powstaje jest jakby... ich pomniejszoną wersją.

Jeśli ta hipoteza jest trafna, to — wbrew obawom o niebezpieczeństwie zaniku

historii literatury – świadczyłaby o czymś przeciwnym: o jej istnieniu rozumianym powszechnie jako ciągłość historycznoliterackich działań i dyskursów.

Czy jednak – można by zapytać – ta metodologiczna robinsonada nie skrywa w sobie zupełnie nowych potrzeb i zapowiedzi? Jeszcze kilkanaście lat temu – jak pisał Janusz Sławiński – badacz literatury starał się usilnie „zdlawić w sobie głos czytelnika”, chciał, by jego wypowiedź była utożsamiana z głosem Dyscypliny, a nie z prywatnymi upodobaniami i ograniczeniami konkretnej osoby. Dziś bywa inaczej. W iluż pracach historia literatury jako dyscyplina została odrzucona jako niczym nie uzasadniona uzurpacja quasi-nauki. Jej miejsce zajęły strategie i dyskursy zbliżone do krytyki literackiej (ale, rzecz znamienne, nie uznające istnienia reguł sztuki interpretacji), badacza zastąpił czytelnik, metodyczne rekonstrukcje – ekscentryczne sprawozdania z lektur. Chciałaś, *historio literatury*, głosów zindywidualizowanych – oto są, chciałaś być pisana przez czytelnika – oto go masz, chciałaś być nieskrępowana i różnorodna, kapryśna i swobodna, niepowtarzalna i amethodyczna – oto jesteś.

Okazało się bowiem, że tam gdzie do niedawna dostrzegano zaledwie kilku autystycznych solistów, słychać już dziś liczny chór, by nie rzec – marsz zastępów. Oto ktoś dla uzasadnienia swoich historycznoliterackich opowieści powołuje się na babcię, ktoś inny – na „mnie-się-tak-podobaizm”. Ktoś jeszcze inny nieustannie celebrytuje gatunek „wyznania-samouznania”, a spotkać można i takich, którzy w każdym akapicie przypominają, że: „wielu ta księga męczyła, ale tylko mnie się objawiła”.

Łatwo przewidzieć, że pole możliwości takich pląsów szybko się wyczerpie. Prędzej czy później musi się przecież okazać, że w tłumie nudystów interesujący jest jedynie ten, kto... ma na sobie jakiś strój. Myślę, że o ten strój – nic tak bowiem nie rozgrzewa dyskusji jak moda – złączą się za czas jakiś poważne i bardzo poważne spory. Nie wystarczy przecież stale używać formy „ja”, by odróżniać się od innych...

Albertynka jest co prawda naga, ale – każdy to chyba widzi – jest przede wszystkim j e d y n a. Któż by ją bowiem rozpoznał w t ł u m i e A l b e r t y n e k?...

Włodzimierz Bolecki